# 18 DNI W GDAŃSKIEJ OLIVII

# ZJAZD WALNY

ANDRZEJ **KACZYŃSKI**

dziennikarz, zajmuje się historią. Po sierpniu 1980 r. współpracował z prasą solidarnościową w Lublinie, w 1981 r. był reporterem w „Tygodniku Solidarność". W drugim obiegu redagował „Kulturę Niezależną" i „Wezwanie", publikował w „Tygodniku Wojennym" i „21". Po 1989 r. pracował m.in. w „Gazecie Wyborczej", „Życiu Warszawy" i (do 2006 r.) w „Rzeczpospolitej".

I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ Solidarność zamknął czas kształtowania organizacji, wybierania władz, szlifowania statutu i formułowania programu. Okres, który nastąpił, był jednak zbyt krótki, żeby cokolwiek z tego dorobku sprawdziło się (lub nie) w praktyce – ledwie dziewięć tygodni. 13 grudnia członkowie Komisji Krajowej prawie w komplecie, a i delegaci w znacznej liczbie, trafili pod klucz (w ówczesnej solidarnościowo-opozycyjnej gwarze: pod celę), uchwały i dokumenty zaś (mówiło się: kwity) na makulaturę albo do zbiorów bezpieki.

Nie należy z tego jednak wysnuwać wniosku, że stan wojenny dorobek zjazdu Solidarności obrócił wniwecz. Prawda, członkowie Komisji Krajowej nie spotkali się już nigdy w pełnym składzie, a „kwity" zjazdu spoczęły w archiwum i nawet historycy z rzadka do nich zaglądają. Do programu Solidarności uchwalonego na pierwszym zjeździe nikt później na serio nie odwoływał się, ani w podziemiu, ani w 1989 r., gdy rekonstruowano Związek. Ale dla aktywnych wówczas pokoleń Polaków te przegadane osiemnaście dni w gdańskiej hali Olivia były pierwszym doświadczeniem demokracji, z wszelkimi jej wadami i zaletami, z jej niedającymi się zignorować ograniczeniami, ale przede wszystkim z wielkim potencjałem sprawczym. To doświadczenie okazało się tak pociągające, że ludzie Solidarności zamiast zastanawiać się, co władza pozwoli sobie wyszarpać, coraz częściej zaczęli pytać – co możemy sami zrobić?

Tak bywa, że instytucje upadają, dokumenty są unieważniane, a ich wpływ na przebieg wydarzeń nie ustaje. Sejm Czteroletni nie dokończył kadencji z powodu wojny z Rosją, Targowica zniosła Konstytucję 3 maja, ale przez ponad wiek ta nieważna ustawa zagrzewała Polaków do walki o niepodległość. *Nota bene* przed kilkoma laty zawiązało się stowarzyszenie Potomków Sejmu Wielkiego, dumnych z trzeciomajowej ustawy, choć chyba nie zawsze z przodków, bo przecież większość sejmowa konstytucji była niechętna i uchwalono ją fortelem, pod nieobecność przeciwników. Nie wiem, czy są lub będą (niekoniecznie za dwieście lat...) ludzie, którzy z dumą myślą lub mówią: byłem (albo: mój brat, ojciec, dziadek był) delegatem na pierwszy zjazd Solidarności. Jako jeden ze sprawozdawców „Tygodnika Solidarność" obserwowałem zjazd, kulminację roku gęstego od niebywałych wydarzeń, i zaliczam to do najważniejszych swych zawodowych doświadczeń.

A oto inne historyczne wydarzenie, którego następstwa okazały się całkiem inne, niż wyobrażali sobie i planowali jego twórcy: obrady Okrągłego Stołu w 1989 r. Poza

Pierwsza konferencja prasowa zjazdu, siedzą od lewej: Karol Modzelewski, Janusz Onyszkiewicz (rzecznik prasowy Solidarności), Marek Podgórczyk (szef biura prasowego zjazdu), Joanna Jaraczewska, nad nią stoi Andrzej Zarębski, 4 września 1981 r. Fot. Stefan Kraszewski, zbiory ECS

dwoma postanowieniami, o wyborach i relegalizacji Solidarności, wszystkie mozolnie wynegocjowane porozumienia natychmiast straciły na znaczeniu. Skala zmian, które uruchomił Okrągły Stół, przerosła najśmielsze marzenia opozycji i najczarniejsze przewidywania władz.

## Nasz parlament

Zjazd to najwyższa władza NSZZ Solidarność. Statut przyznał mu cztery kompetencje: wybór Komisji Krajowej i Komisji Rewizyjnej, uchwalenie programu Związku, przyjęcie zmian w statucie, określenie górnej i dolnej granicy składek członkowskich. Można było te zobowiązania, a zwłaszcza debatę programową, potraktować węziej lub szerzej. Było jednak oczywiste, że pierwszy zjazd nie potraktuje swoich obowiązków minimalistycznie. Oczekiwania nie tylko działaczy, ale także wielu zwykłych związkowców wyrażała powtarzana wówczas często maksyma: musimy nauczyć się myśleć o tym, co odważyliśmy się zrobić.

Przed zjazdem pisano, a na jego inauguracji mówiono podniośle. Szukano określeń umiarkowanych, ale zarazem dostatecznie pojemnych, żeby wyrazić to, czym on jest lub powinien się stać. Wszyscy zdawali sobie sprawę, jaki jest kontekst. Delegaci z okien akademików, w których kwaterowali, mogli widzieć manewry okrętów Floty Bałtyckiej ZSRR. Wzdłuż całej wschodniej granicy PRL dzień przed zjazdem Solidarności wyruszyły z koszar wielkie masy wojska i maszyn pancernych na ćwiczenia, a właściwie demonstrację siły: popatrzcie, co możecie nam przeciwstawić? Z war-

szawskiego Białego Domu też dobiegały groźne pomruki: nie straszymy, ale w razie konieczności nie zawahamy się przed użyciem siły... To był powód umiarkowania w słowach przemówień powitalnych. Lecz zogniskowało się na zjeździe tyle ważnych projektów, wysiłków społecznych, cierpliwych wyrzeczeń, gorzkich rozczarowań i niezłomnej nadziei, że mówcy nie mogli ustąpić z poczucia własnej i zjazdu godności i wartości. Szukali więc różnych trafnych określeń znaczących więcej niż ich proste słownikowe definicje.

Drugiego albo trzeciego dnia obrad podczas przerwy Leszek Paga, przewodniczący sesji, podczas której kilku zagranicznych związkowców sławiło Solidarność, westchnął: – Pięknie, tylko jak teraz przejść do mówienia o odzieży roboczej? Było już wtedy nieuchronne, że zjazd nie zmieści się w zaplanowanych terminach. Pierwsza tura miała trwać trzy dni, a tu o zmianach w statucie, które musiały być omówione przed przerwą, żeby regiony mogły się wypowiedzieć na ich temat, nie padło jeszcze ani słowo.

Ale była jeszcze inna bolączka wszelkich dyskusji związkowych. Zaznaczyła się już w zbiorze 21 postulatów gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, w którym problemy ustroju państwa sąsiadowały z usterkami bezpieczeństwa pracy czy brakiem miejsc w żłobkach. I często zdarzało się na zebraniach Związku, że kiedy tematem była konieczność przywracania prawdziwej historii albo walki o uwolnienie więźniów politycznych, zawsze znalazł się ktoś, kto zaprotestował przeciwko niedostarczeniu pasty bhp. A gdy mówiło się o składkach lub zasiłkach, szatniach czy bufecie, prędzej czy później ktoś żądał wolnych wyborów.

Tak więc w pierwszych dniach obrad odpowiedź na pytanie o tożsamość zjazdu wciąż jeszcze nie padła. Bodaj trzeciego dnia przemówił gość: reżyser i dramaturg Stanisław Brejdygant. Przyjechał w imieniu Związku Artystów Scen Polskich podpisać porozumienie o współpracy z Solidarnością. Podobne porozumienia podpisali też przedstawiciele związku literatów Jan Józef Szczepański i związku artystów plastyków Jerzy Puciata. Brejdygant przekazał pozdrowienia i życzenia od ludzi teatru (mieli oni zresztą reprezentantów na zjeździe: Halinę Mikołajską, Kazimierza Kaczora i Szymona Pawlickiego). Po czym powiedział do delegatów: jesteście naszym parlamentem.

Trafił w sedno. Pierwszy rok Solidarności unaocznił, jak bardzo społeczeństwu doskwiera brak autentycznej reprezentacji. Jak bardzo upokarzające i nieznośne jest poczucie, że nie może wybrać tych, którzy je będą reprezentować oraz w jego imieniu podejmować decyzje, i że nie może za pomocą kartki wyborczej ocenić rządzących. Podczas strajku w Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Bogdan Borusewicz skreślił z listy postulatów punkt z żądaniem wolnych wyborów i przez cały „karnawał" Solidarność podtrzymywała to wyrzeczenie. Grzegorz Palka z Łodzi, który na zjeździe wygłosił coś w rodzaju manifestu realistycznego radykalizmu, poczuł się w obowiązku zadeklarować, że wolne wybory wciąż jeszcze są poza horyzontem. Maksimum, na które Związek sobie pozwolił, to zapowiedź, iż będzie się domagać, żeby w najbliższych wyborach do rad narodowych głosować nie na jedną, tylko na kilka list kandydatów.

Po 4 czerwca 1989 r. w solidarnościowym okienku Telewizji Polskiej pojawiali się znani aktorzy, którzy wygłaszali następującą formułę: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj! Co robić? Pomóż". Podczas demonstracji ulicznych w stanie wojennym manifestanci spychani przez zomowców, ostrzeliwani przez armatki wodne i wyrzutnie gazu łzawiącego wołali: „Tu jest Polska". Jesienią 1981 r. pragnienie, żeby wreszcie być we własnym domu, żeby można było wskazać miejsce, o którym powiedziałoby się z pełnym przekonaniem: tu jest Polska, powszechnie kierowane było do gdańskiej hali Olivia.

Po zakończeniu pierwszej tury zjazdu wracaliśmy w kilka osób z „Tygodnika Solidarność" redakcyjnym samochodem. Tadeusz Mazowiecki, który nas wiózł, powiedział w pewnym momencie: no cóż, nieuchronnie zbliżamy się do Warszawy, gdzie urzęduje emigracyjny rząd gen. Jaruzelskiego...

## Delegowanie

Profesor Andrzej Friszke napisał o I Krajowym Zjeździe Delegatów Solidarności: „było to pierwsze

od 1946 r., kiedy obradował Kongres PSL, ogólnopolskie zgromadzenie obywateli wybranych w demokratycznych wyborach", a zjazd mógł „słusznie uchodzić za przedstawicielstwo większości obywateli kraju" (w przedmowie do *Rozmów niedokończonych* Janiny Jankowskiej z ówczesnymi liderami Solidarności). Analogii jest wiele. Kongres PSL obradował w warunkach podobnej (a nawet większej) opresji ze strony władz komunistycznych i podobnie był wyrazicielem opinii przytłaczającej większości Polaków. Ale był jednak przedsięwzięciem partyjnym i zarówno z uwagi na skład społeczny wyborców, jak i reprezentatywność delegatów nie może być porównywany ze zjazdem Związku. Być może pod tym względem kongres Solidarności należałoby porównać do któregoś z parlamentów II RP (ostatnie przed wojną wybory odbywały się w warunkach niepełnej demokracji). W każdym razie nikt z delegatów w Olivii (najstarsi dobiegali sześćdziesiątki) nie znał z osobistego doświadczenia wolnych wyborów. Zaznali ich bodaj wyłącznie dwaj najbardziej wiekowi goście zjazdu, prof. Edward Lipiński i gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz.

Czuwanie nad prawidłowym przebiegiem wyłaniania delegatów na zjazd Krajowa Komisja Porozumiewawcza zleciła 9 kwietnia 1981 r. Zespołowi Wyborczemu. Po dwóch tygodniach przemianowała go na Krajową Komisję Wyborczą i uniezależniła od siebie, by – uzupełniona o osoby wyznaczone przez regiony – nie stwarzała jakichkolwiek podejrzeń, że KKP chce mieć wpływ na skład delegatów. Ustanowiła jeszcze tylko parytet: jeden delegat na dziesięć tysięcy członków Związku.

Delegatów miały wybierać walne zjazdy regionalne. Ale struktura terytorialna Związku była wciąż nieuporządkowana. Trwał proces scalania mniejszych MKZ-etów, np. na Mazowszu, Dolnym i Górnym Śląsku, a jednocześnie wystąpiły tendencje odśrodkowe. W wyniku zabiegów m.in. Krajowej Komisji Wyborczej udało się wyjściową liczbę 69 regionów zredukować do 38. Powstały jednak olbrzymie dysproporcje. Obok takich molochów jak region śląsko-dąbrowski – 1,4 mln członków, Mazowsze i Dolny Śląsk – po przeszło 900 tys., ostały się jednostki zrzeszające po 30–40 tys. ludzi. Trzy MKZ-ety (Kędzierzyn-Koźle, Kutno i Nysa) nie zdecydowały się wyjść ze stanu tymczasowości. Pojawił się i twór separatystyczny – Federacja Tarnobrzeska, odłam regionu sandomierskiego, skutek tradycyjnego antagonizmu pomiędzy Stalową Wolą i Tarnobrzegiem. Ale i tym jednostkom nie odmówiono prawa do wyłonienia delegatów, po dwóch lub trzech, zgodnie z parytetem.

Widać w tym wielką dbałość o to, by nikt wyposażony w prawo wyboru nie został wykluczony, i zarazem żeby z powodu trwającego porządkowania struktury terytorialnej uniknąć przypadków podwójnego głosowania. Za każdym delegatem miało stać dziesięć tysięcy wyborców i kropka (końcówki na listach wyborczych zaokrąglano: od 5001 osób – w górę, poniżej tej liczby – w dół). Krajowa Komisja Wyborcza bardzo skrupulatnie weryfikowała regionalne sprawozdania z wyborów; ostatnie wpłynęły 31 sierpnia. Kilkakrotnie nakazywała powtórzenie wyborów. Jeżeli poprawki były niemożliwe, odmawiała przyznania mandatu. Ubocznym efektem pracy KKW było ustalenie na podstawie dokumentów prawdziwej liczby członków Solidarności. Według sprawozdania tego organu 31 sierpnia 1981 r. do Związku należało 9 476 584 osób. Dokument skrupulatnie wylicza następnie, że swoich reprezentantów na zjeździe ma 8 906 765 związkowców, a 569 819 osobom nie udało się skorzystać z wyborczych uprawnień. Ostatecznie KKW nie uznała ważności 16, a pozytywnie zweryfikowała 896 mandatów delegatów na zjazd.

## Enklawa Olivia

Okazała hala sportowa. Styl: wczesny Gierek. Pojemne parkingi. Co dzień przed ósmą ustawiały się na nich autokary. Obłożone plakatami i nalepkami, z transparentami w oknach, z chorągiewkami w barwach narodowych i z napisem w solidarycy. Ustrojone odbyły zlot gwiaździsty z całego kraju. Po drodze pozdrawiano je, postoje przeradzały się w spontaniczne wiece z mieszkańcami mijanych miasteczek. Pod Olivią autokary czekały do późnej nocy. Dzień pracy delegatów to co najmniej czternaście godzin, a zdarzało się i siedemnaście (aż się prosiło o kontrolę związkowego inspektora pracy).

Lech Wałęsa i gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz podczas drugiej tury zjazdu, wrzesień 1981 r. Fot. Sławomir Fiebig, zbiory ECS

Kilkaset metrów dalej udostępniona zjazdowi studencka stołówka. Przez osiemnaście dni byłem w niej ze trzy razy. Na starym mieście w Gdańsku ani razu. Raz chwilkę nad morzem. W Olivii było ciekawiej. W przerwie obiadowej wolałem sczytać i uzupełnić notatki z przedpołudnia, póki pamięć świeża. Kanapki i kawa. W korytarzach hali ustawiono kilka kiosków Ruchu. Sprzedawczynie bardzo się starały wytrzasnąć dla nas coś atrakcyjnego. Na pewno papierosy. Bułgarskie i kubańskie były dostępne bez kartek. Raz zdobyłem dziesiątkę żyletek. Skarb, starym nie pomagało już ostrzenie o wewnętrzną ścianę szklanki z wodą. Chwaliłem się nimi, zresztą połowę natychmiast rozdałem. A mama na to: – No tak, już się zaczyna. – Co się zaczyna? – Przywileje. Poza kolejką. Towary tylko dla wybranych… Coś w tym było, że nawet o tym nie pomyślałem. Jak łatwo się rozgrzeszyć, że sytuacja nadzwyczajna…

Przestrzeń dla delegatów była na dole, na boisku-lodowisku. Tysiąc rozkładanych krzesełek. Nam na trybunach było z pewnością wygodniej. Marek Edelman często wstawał rozprostować się i by nie wyglądało, że prosi o głos, stawał za krzesłem, pochylał się i wspierał na poręczy. Potrafił tak złamany w pół ustać od przerwy do przerwy. Aleksander Małachowski wymykał się na koniec sali i dostojnie przechadzał za ostatnimi sektorami, miarowo, po linii, jak na spacerniaku. Wysoki, masywny, szerokie oblicze, długie włosy, długa broda, długi surdut; nazwałem go dla siebie Panem Bogiem, później okazało się, że nie tylko mnie tak się kojarzył.

Sektor łódzki można było, poza Edelmanem, poznać po stojącym przed mikrofonem i unoszącym wysoko tabliczkę Grzegorzu Palce. Zostało mi wrażenie, że stał tak, domagając się głosu w nagłym trybie, cały czas. Z diariusza wynika, że faktycznie

był bodaj najczęściej występującym delegatem. Kilka jego projektów zjazd przyjął, zwłaszcza w części programu dotyczącej reformy gospodarczej. A w wyborach do Komisji Krajowej Palka zdobył największą liczbę głosów. Nie był z pewnością tak skuteczny jak Karol Modzelewski, delegat Dolnego Śląska, drugi bodaj co do ilości wystąpień, a na pewno pierwszy co do liczby przyjętych projektów. To było do przewidzenia, niezwykły talent do przekonywania Modzelewski objawił już 17 września 1980 r., podczas spotkania w Gdańsku, na którym delegaci MKZ-etów podjęli decyzję o utworzeniu ogólnopolskiej Solidarności po jego wystąpieniu i w zgodzie z przedstawioną przez niego wizją. Na zjeździe był powszechnie rozpoznawany: członek prezydium i były rzecznik KKP, uczestnik najważniejszych negocjacji Solidarności. Miał autorytet również u tych, którzy się z nim nie zgadzali. W kuluarach wokół niego oraz wokół Jacka Kuronia (nie ubiegał się o mandat delegata, na zjeździe był jako ekspert) tworzyły się najgęstsze kółka, tak wielu chciało się zapoznać z ich opiniami.

Z trybun sala obrad przedstawiała widok bardzo uporządkowany. Rzędy siedzeń, podzielone na regionalne sektory, zapełnione przez kilkuset ludzi. Kilka sektorów było łatwo rozpoznawalnych. Gdański z bohaterami Sierpnia ‘80. Mazowsze to przywódcy Ursusa i Huty Warszawa Bujak i Jaworski; znani opozycjoniści – z wdziękiem i podniesioną głową znosząca tortury obrad piękna Halina Mikołajska, Jan Józef Lipski z siwą grzywą, pozostali korowcy Romaszewski i Wujec; Janusz Onyszkiewicz, z którym co dzień spotykaliśmy się na konferencjach prasowych (regularnie około południa rozśmieszał delegatów sprawozdaniami z lektury sprawozdań prasowych ze zjazdu). Ja odróżniałem jeszcze macierzysty region środkowo-wschodni. Inne po emblematycznych postaciach: Frasyniuk, Modzelewski to Śląsk Dolny, Rozpłochowski – Górny, Jurczyk – Szczecin, Rulewski to Bydgoszcz, Kopaczewski – Rzeszów, Sobieraj – Radom. Ale jakie prądy przebiegały wśród delegatów (czasem widziało się poruszenie lub słyszało szeptanie)? Jak współpracowali? Niektóre regiony regularnie naradzały się po obradach, kradnąc ze snu kolejną godzinę. Jak dojrzewali do decyzji?

Od Sierpnia historia działa się na naszych oczach. Od września-października 1980 r. masy miały poczucie, że w teatrze historii zajmują miejsca coraz bliżej sceny, bo przyjechał Wałęsa, Lis, Kuroń, Michnik, bo Mazowiecki wystąpił w telewizji, a nawet że same wkraczają na scenę, bo strajk lub gotowość, wiec, demonstracja, nasze postulaty, negocjacje. Pod halą Olivia widziałem ludzi, którzy przyszli obserwować zjazd. – Dla nas ciekawa jest nawet dyskusja o dzieleniu składek pomiędzy komisje zakładowe, region i gdańską centralę. Sam siedziałem na widowni jak przykuty: pasta bhp, fundusz zasiłkowy, strajk czynny, kontrola dystrybucji, niepodległość – jakież to fascynujące.

Czasem nie rozumiałem. Antyinteligenckie fobie. Niepoczytalne ataki na ekspertów. Któryś delegat grzmiał: – Doradcy obsiedli Lecha jak stonka. Trzeba ją strząsnąć! A ponad połowa sali to ludzie o wyższym wykształceniu. Historyk Piotr Osęka bardzo ciekawie i pod różnymi aspektami przeanalizował zbiór delegatów i doszedł m.in. do wniosku, że w ciągu roku władzę w Solidarności przechwycili inteligenci. Z tym się akurat nie zgadzam. Widziałem, z jaką intencją wybierano ich w regionach. Po opublikowaniu wymagających intelektualnie tez do dyskusji programowej elektorzy na zebraniach w oddziałach terenowych i na zjazdach w regionach, zwłaszcza dużych i ambitnych, świadomie i dobrowolnie dopuszczali do nadreprezentacji inteligentów wśród kandydatów. A już w zarządach regionów aż taka nadreprezentacja nie występowała. Dziewiątego dnia obrad, właśnie po serii wściekłych ataków na ekspertów, Bogdan Lis wystąpił – i to w czasie dyskusji na zupełnie inny temat – z projektem drobiazgowej instrukcji powoływania doradców i ekspertów oraz sposobów ich funkcjonowania. Że muszą to być osoby z nienaganną przeszłością polityczną, które nie zdradzały skłonności do przyłączania się do obozu zwycięzców. (A jeszcze niedawno Lis, działacz Wolnych Związków Zawodowych i lider Solidarności, był równocześnie członkiem PZPR!). Albo że podczas negocjacji ekspert może przedłożyć swoją opinię, ale tylko w formie pisemnej, doręczonej jednemu z pełnomocnych negocjatorów Solidarności. Lisowi, który w wielu najważ-

niejszych negocjacjach brał udział, mogli eksperci nieraz zaleźć za skórę, ale znał przecież ich zasługi. Prawdopodobnie chciał w ten sposób sprowadzić dyskusję na ten temat na cywilizowany poziom. Ponieważ rzecz wykraczała poza porządek dzienny, przewodniczący obradom Krzysztof Turowski zapytał salę, czy przerwać Lisowi. – Niech mówi – zadecydowali delegaci. A projekt odrzucili.

Radykałowie. Sala lubiła ich słuchać. Nie pozwalała przerwać, nagradzała brawami. Trzeciego dnia Jan Rulewski zaatakował „kierownicę" (deklarację w aneksie do statutu, że Solidarność uznaje kierowniczą rolę PZPR w państwie, powtórzoną za porozumieniem gdańskim). Skwapliwie poparł go Lech Sobieszek. W sierpniu 1980 r. członek prezydium gdańskiego MKS, które (wprawdzie z obrzydzeniem) przystało na „kierownicę"; Sobieszek nie zachował się wtedy jak Rejtan. W Olivii zaproponował, żeby ją odrzucić. Dostał oklaski. Ale w głosowaniu wniosek upadł. Sobieszek zażądał, żeby powtórzyć głosowanie. Nic z tego. W drugiej turze ponowił wniosek. Znów przegrał. Wyawanturował się o głos w trybie nagłym i zaczął wołać, że niektórym na tej sali próbuje się zamknąć usta. Odpowiedział mu las uniesionych mandatów. To znaczyło: nie chcemy cię słuchać, skończ.

Podziałów politycznych i ideologicznych zarówno na zjeździe, jak i w całym Związku wówczas – głównie ze względu na zupełną i uporczywą ślepotę ideologiczną – albo nie widziałem, albo ich nie doceniłem. Rywalizację między regionami, miastami czy jakkolwiek inaczej skrojonymi obszarami, konflikty branżowe, sprzeczności interesów grupowych, antagonizmy ambicjonalne i tym podobne – te były dla mnie widoczne. Radykałów nie uważałem za trwale wyodrębnioną grupę, zwłaszcza że wojowniczo przemawiali, ale przeważnie głosowali jak umiarkowani, chyba że się który zapędził i nie mógł się wycofać na zdroworozsądkowe pozycje, nie tracąc twarzy. Inaczej fundamentaliści. Ci nie cofali się (prawie) nigdy. Zaistnieli publicznie (wtedy i ja ich zacząłem identyfikować; dawniej przypisywałem im zaledwie zapędy doktrynerskie, a to tylko wada charakteru, nie światopogląd) w najprzykrzejszym momencie zjazdu. Storpedowali mianowicie projekt uchwały z podziękowaniem dla korowców po ogłoszeniu przez prof. Edwarda Lipińskiego zakończenia działalności KSS KOR. Sądzę, że rezultatem ich działalności były przeciągające się w nieskończoność wybory do Komisji Krajowej. Trzeba było głosowań w aż siedmiu turach. Dowieść tego nie potrafię, ale nie było chyba rzeczą przypadku, skoro chodziło o takich kandydatów jak Zbigniew Romaszewski, Ryszard Bugaj i Lech Kaczyński (który wtedy, warto przypomnieć, zapisał się nie do Klubów Służby Niepodległości z Antonim Macierewiczem, ale do Klubów Rzeczypospolitej Samorządnej Wolność-Sprawiedliwość-Niepodległość z Jackiem Kuroniem i Adamem Michnikiem).

## Jarmark cudów

Nie mniej fascynujący spektakl odbywał się na zewnątrz Olivii. Ale pierwszy jego akt odbył się w środku. W przeddzień inauguracji zjazdu dla delegatów i gości wystąpiły z koncertem gwiazdy I Festiwalu Piosenki Prawdziwej. Festiwal odbył się dwa tygodnie wcześniej w tej samej hali; równie dobrze można by dać w tytule „piosenki solidarnościowej". Był to prezent organizatorów, o których należy tu powiedzieć ciepłe słowo za przygotowanie i obsłużenie całego zjazdu. Pierwotnie miał on trwać dziesięć dni, przedłużył się do osiemnastu; pierwsza tura o trzy, druga o pięć. A to dlatego, że ta pierwsza od dziesięcioleci wolna reprezentacja Polski musiała się wygadać za przeszło trzy i pół dekady. Znaczyło to, że organizatorzy musieli (w warunkach już nie niedoboru, ale po prostu braku czegokolwiek, a zwłaszcza żywności i miejsc w hotelach) improwizować na tyleż dni aprowizację i noclegi.

Rano pierwszego dnia mszę w intencji zjazdu odprawił w katedrze oliwskiej prymas Józef Glemp, a po mszy autokary z delegatami triumfalnie – wzdłuż powitalnego szpaleru gdańszczan – przejechały kilkaset metrów do hali Olivia. Był to podwójny ingres. Prymasa – pierwsze publiczne wystąpienie po odebraniu nominacji na następcę kard. Stefana Wyszyńskiego. I delegatów Solidarności do miasta – kolebki Związku.

I zaczęło się. Przez cały czas zjazd miał uważną i wymagającą widownię. Przed halę wystawiono telewizory i głośniki z transmisją obrad. Zawsze można było tam zastać obserwatorów. Nawet do kilkuset osób, jak w noc wyboru przewodniczącego Związku. Któregoś dnia spiker zjazdu odczytał reprymendę widzów dla delegatów, którzy wałęsali się zamiast uczestniczyć w obradach. List ten wyświetlono też na tablicy świetlnej. Pewne małżeństwo, lekarze, wzięło na czas zjazdu urlopy i z własnymi leżakami zainstalowało się na stałe pod Olivią. Byli też inni stali lub częstotliwi bywalcy. I przygodni. Bardzo byli łasi na kontakty ze znanymi delegatami lub gośćmi zjazdu. Jeżeli ktoś taki wychynął z hali, natychmiast otaczało go ciasne kółeczko. Pewnego razu Jan Rulewski przyszedł w garniturze, pod krawatem i w trampkach; przed widownią zaraz musiał się wytłumaczyć, że to nie ekscentryczny kaprys, tylko rozleciały mu się pantofle i jedyne, co mężczyzna o typowym numerze buta mógł wówczas kupić, to właśnie to, pokazywał, a japońska telewizja skrupulatnie filmowała.

Nieco dalej rozłożyły się kramy. Najwięcej z bibułą, bardzo dobrze zaopatrzone… Ustrzeliłem tam parę podziemnych tytułów, które wcześniej mi umknęły. Byłem zadowolony, że nie musiałem kompletować „Tygodnika Solidarność"; sprzedawano go z kilkunastokrotnym przebiciem. W autokarach delegatów można było w niektóre dni kupić najświeższe biuletyny związkowe z całej Polski. Wielkim powodzeniem cieszył się np. „Wolny Związkowiec" z Huty Katowice, którego autorom i redaktorom prokurator postawił zarzut z kodeksu karnego. Albo „Solidarność Ziemi Puławskiej", też ścigana: za „misie", czyli rysunkowe karykatury, m.in. Breżniewa jako niedźwiedzia, przedmiot obrad Biura Politycznego i interwencji dyplomatyczno-partyjnych pomiędzy PRL i ZSRR oraz PZPR i KPZR. Inne kramy z kasetami magnetofonowymi; piosenki z festiwalu w Olivii i pieśni patriotyczne, ale także nagrania przemówień papieża lub prymasa Wyszyńskiego, spotkania autorskiego Czesława Miłosza czy wiecowych wystąpień Wałęsy. Plakietki i gadżety rozmaitej treści. Znaczki do wpinania w klapę, „Solidarność", „Pełzająca kontrrewolucja", „Element antysocjalistyczny". Obok kolekcjonerzy, zwłaszcza znaczków. Czyhali na delegatów, żeby sobie skompletować regiony. Miałem i ja ofertę: dać, sprzedać lub wymienić piękny znaczek „Tygodnika Solidarność" z odwzorowaną winietą, oczywiście z wykorzystaniem solidarycy. Nie byłem pewny, czy zdobędę drugi, i odmówiłem. Z wyrzutami sumienia, bo kolekcja, eksponowana na specjalnych, wyścielanych aksamitem planszach prezentowała się imponująco; jakoby była największa w kraju. Czyli także na świecie – podpowiedziałem kolekcjonerowi, ucieszył się i zapowiedział, że będzie mnie zapytywał, ilekroć mnie zobaczy. Zagadnął jeszcze dwa czy trzy razy i przestał. Albo ubłagał któregoś z kolegów, albo mnie uznał za pełzający element.

Nie widzę przeszkód, żeby kilku słów o mediach na zjeździe nie umieścić pod tytulikiem *Jarmark cudów*. Dziennikarzy był niemały tłum. Zagranicznych, partyjnych, oficjalnych, związkowych i – do niedawna – podziemnych. Nie było tylko Telewizji Polskiej. Była japońska agencja Kiodo, TV japońska, kilka z Europy i ze Stanów Zjednoczonych. Prasowi korespondenci zagraniczni. A TVP nie. Solidarność nie chciała strzelić sobie samobójczego gola i nie udzieliła jej akredytacji. Było to po „Dniu bez prasy" – strajku drukarzy prasowych w proteście przeciwko nadużyciom propagandy i po kłamstwach w TVP o rzekomym zerwaniu przez Solidarność rozmów z rządem. Pertraktacje spełzły na niczym. Dla członków Związku była to duża strata, że nie mogli zobaczyć chociaż kilku obrazków ze zjazdu. Ale rychło okazało się, że była to słuszna decyzja. Organizatorzy raz pozwolili uczciwym dziennikarzom z „Panoramy" w gdańskiej TV sfilmować inauguracyjne przemówienie Wałęsy. Zwierzchnicy odebrali im kasetę, przesłali do Warszawy i w ogólnopolskim dzienniku ukazała się zmanipulowana relacja. Jak nam mówili korespondenci zagraniczni, TVP chciała kupić relacje od ich stacji. Spotkała się z odmową.

Próbowaliśmy brak telewizyjny nadrobić własnym sposobem. Całe obrady były nagrywane przez związkową redakcję programów dla radiowęzłów zakładowych. „Tygodnik Solidarność",

którego nakład został na czas zjazdu podniesiony do miliona egzemplarzy, oraz dwa biuletyny: Informacji Prasowej Solidarność („BIPS") i Agencji Solidarność („AS") zamieszczały szczegółowe diariusze („AS" – prawie stenogram). Korespondentów przysłało wiele biuletynów i radiowęzłów związkowych. Fredek Bondos z WSK-Świdnik codziennie montował półgodzinną relację i posyłał ją telefonem do zakładowego radiowęzła. Na rzetelne relacje można było liczyć w „Życiu Warszawy", z którego przyjechali Janusz Jankowiak i Janusz Reiter, obaj solidarnościowcy, którzy wymogli na szefach obietnicę, że ich teksty nie będą redagowane; zaszkodzić im mogły tylko skróty cenzury (z oboma kolegami w stanie wojennym spotkaliśmy się w „Przeglądzie Katolickim" i oczywiście w drugim obiegu). Była jeszcze „Gazeta Krakowska" Macieja Szumowskiego, niektóre popołudniówki poza koncernem RSW Prasa.

Oddzielne miejsce zajmowała trójka: komentator polityczny „Trybuny Ludu" Jerzy Bielecki oraz po obu stronach jego giermkowie – dziennikarka „Głosu Pracy" i lokalny korespondent „Trybuny". Wysłannika nie miał chyba „Żołnierz Wolności". Znałem teksty Bieleckiego i byłem ciekaw, co on widzi, czego ja nie widzę, a nie dostrzega tego co ja. Parę razy siedziałem niedaleko (oni wybierali sobie raczej jak najbardziej odizolowane miejsca na widowni) i odkryłem tajemnicę. Przeważnie Bielecki siedział nieruchomo, jakby w ogóle nie interesowało go, o czym się tam mówi. Do chwili, kiedy prowadzący udzielał głosu któremuś z faworytów korespondenta. Ożywał, zaczynał słyszeć i widzieć. Po czym wytrząsał z rękawa mały dyktafonik (cacuszko, niedościgłe marzenie z drugiego obszaru płatniczego) i mówił mniej więcej następująco: „Bydgoski watażka z kryminalną przeszłością Jan Rulewski [miał wyrok za ucieczkę przez zieloną granicę – A.K.] przypuścił niepoczytalny atak na obóz pokoju, międzynarodowe sojusze, integralność terytorialną PRL, a pseudozwiązkowcy urządzili mu owację"; „Ekstremistyczny awanturnik Andrzej Rozpłochowski z Huty Katowice lżył słowami niegodnymi powtórzenia uczciwe, ciężko pracujące ekspedientki sklepów spożywczych i mięsnych – wasze matki, żony i córki, drodzy czytelnicy, a nikt z uczestników antysocjalistycznego sabatu nie wziął ich w obronę; wtórował mu grubiański rechot". I zamierał. A nazajutrz „Trybuna Ludu" słowo w słowo to drukowała. Dla pewności objaśnię, że Rulewski powątpiewał, czy statut Związku musi zawierać słowa o kierowniczej roli PZPR, a Rozpłochowski mówił o pustych półkach i nagich hakach w sklepach.

Po uchwaleniu *Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej* giermek z „Trybuny Ludu" zażądał wyjaśnień od Janusza Onyszkiewicza. Rzecznik tłumaczył łagodnie: uważamy Solidarność za dobrą rzecz dla nas i dla Polski, wyraziliśmy więc wobec naszych przyjaciół nadzieję, że i im wydarzy się kiedyś coś tak dobrego jak nam i że będzie to raczej wcześniej niż później. Przedtem Bernard Guetta z „Le Monde", można powiedzieć dziekan korpusu korespondentów zagranicznych, dopadł Tadeusza Mazowieckiego. – Jaki plan polityczny kryje się za *Posłaniem*? Co macie w zanadrzu? – wypytywał gorączkowo. – *Posłanie* jest dokumentem o charakterze moralnym. Uważam, że nie należy mieszać polityki do moralności, a skoro pan pyta, co mamy w zanadrzu, to my, proszę pana, w zanadrzu nic nie mamy – odpowiedział Mazowiecki. – Tak? Naprawdę? Nic w zanadrzu? No to ja idę się pakować. Może mi się uda wyjechać stąd przed Rosjanami – odparł wzburzony Guetta. Ale nie wyjechał.

Kolportaż informacyjnych materiałów zjazdowych, wrzesień 1981 r. Fot. Stanisław Składanowski, zbiory ECS

# I KRAJOWY ZJAZD DELEGATÓW NSZZ SOLIDARNOŚĆ

## (ORGANIZATORZY, ORGANY, OBSŁUGA)

**PRZYGOTOWANIA**

**Krajowa Komisja Wyborcza**
przewodniczący Antoni Kopaczewski (Rzeszów)
(wcześniej Zespół Wyborczy KKP, powołany uchwałą Krajowej Komisji Porozumiewawczej 9 kwietnia 1981, zmienioną 25 kwietnia 1981)

**Krajowa Komisja Zjazdowa**
przewodniczący Marek Janas (Warszawa)
(powołana 7 lipca 1981 uchwałą prezydium KKP z zadaniami: opracowania projektów zmian w statucie, tez do programu Solidarności, przygotowania regulaminu i porządku obrad, uzgodnienia z regionami kandydatów do komisji zjazdowych, przeprowadzenia wyboru komisji skrutacyjnej i prezydium zjazdu)

**Biuro Organizacyjne Zjazdu**
kierownik Andrzej Jarmakowski (Gdańsk)
(powołane 25 lipca 1981, odpowiedzialne za techniczne przygotowanie obrad, zakwaterowanie i aprowizację uczestników zjazdu)

**ORGANY I KRAJOWEGO ZJAZDU DELEGATÓW**

**Komisja Skrutacyjna**
przewodnicząca Elżbieta Błaszczyńska (Bydgoszcz)
(dwa zespoły: do głosowań jawnych i do głosowań tajnych)

**Prezydium w I turze**
przewodniczący Tadeusz Syryjczyk (Kraków)
zastępca Stanisław Kocjan (Szczecin)

**prowadzący obrady**
Arkadiusz Paszek (Bielsko-Biała), Krzysztof Mikołajczyk (Bydgoszcz), Lesław Paga (Lublin), Antoni Fijałkowski (Warszawa), Jerzy Buzek (Katowice), Stanisław Szymkowiak (Zielona Góra), Lesław Buczkowski (Gdańsk), Benedykt Nowak (Elbląg), Jerzy Mielnik (Opole)

**sekretarze**
Jerzy Stępień (Kielce), Bolesława Borowska (Poznań), Zbigniew Bełz (Gorzów Wielkopolski), Antoni Pietkiewicz (Kalisz), Bronisław Śliwiński (Koszalin)

**Prezydium w II turze**
przewodniczący Jerzy Buzek (Katowice)
zastępca Antoni Fijałkowski (Warszawa)

**prowadzący obrady**
Zbigniew Bełz (Gorzów Wielkopolski), Stanisław Fudakowski (Gdańsk), Michał Kurowski (Szczecin), Krzysztof Mikołajczyk (Bydgoszcz), Jerzy Nowacki (Poznań), Benedykt Nowak (Elbląg), Lesław Paga (Lublin), Arkadiusz Paszek (Bielsko-Biała), Krzysztof Turowski (Łódź)

**sekretarze**
Bolesława Borowska (Poznań), Ryszard Frutczak (Koszalin), Mirosław Krawczak (Zielona Góra), Jerzy Mielniz (Opole), Antoni Pietkiewicz (Kalisz), Jerzy Pilecki (Wrocław), Zygmunt Staszewski (Wrocław), Jerzy Stępień (Kielce), Janusz Wszeborowski (Radom)

**Komisja Mandatowo-Wyborcza**
przewodnicząca Danuta Nowakowska (Gdańsk)

**Komisja Uchwał i Wniosków**

**w I turze**
przewodniczący Tadeusz Matuszyk (Warszawa)
zastępca Jan Dowgiałło (Warszawa)

**w II turze**
przewodniczący Jan Dowgiałło (Warszawa)
zastępca Henryk Sienkiewicz (Katowice)
zastępca Tomasz Wójcik (Wrocław)

**Komisja Statutów**
przewodniczący Jan Koziatek (Gdańsk)
zastępca Tadeusz Romanowski (Wrocław)
zastępca Jan Śliwiński (Poznań)

**Komisja Programowa**
przewodniczący Bronisław Geremek (Warszawa)
sekretarz Jerzy Milewski (Gdańsk)

**Wybory przewodniczącego Komisji Krajowej, 2 października 1981**
Oddano 844 głosy, ważnych 837, nieważnych 7.
Wśród głosów ważnych 48 wstrzymujących się.

**Wyniki głosowania**
Andrzej Gwiazda – 74 głosy (8,84 proc.)
Marian Jurczyk – 201 głosów (24,01 proc.)
Jan Rulewski – 52 głosy (6,21 proc.)
Lech Wałęsa – 462 głosy (55,2 proc.)
Na przewodniczącego Komisji Krajowej wybrany został w pierwszym głosowaniu Lech Wałęsa.